Dwanaście gwinejskich prac Herkulesa

Reinhold Messner – światowy autorytet we wspinaczce w górach wysokich – pewnie nie przypuszczał, ile narobi zamieszania, ogłaszając, że najwyższym szczytem Australii i Oceanii nie jest Góra Kościuszki, lecz Carstensz Pyramid. Nie mógł wiedzieć, ile trudności i potu dostarczy potencjalnym śmiałkom, którzy zapragną zdobyć tę perełkę w Koronie Ziemi.

Tekst i zdjęcia **Zbyszek Bąk**

Magazyn Turystyki Górskiej npm Patronat medialny

Skład naszej ekspedycji na Carstensz Pyramid (4884 m n.p.m.) – najwyższy szczyt Australii i Oceanii oraz najwyższy szczyt Ziemi leżący na wyspie to zahartowany w górskich bojach zespół: cztery osoby z Polski (Kasia, Paweł, Staszek, Zbyszek), trzech Czechów (wszyscy Petry), Francuz Michel i Serb Basar. Lecimy samolotem rejsowym z zanieczyszczonej stolicy Indonezji – 12-milionowej Jakarty do Timiki, małego miasta leżącego na skraju zielonej Papui Nowej Gwinei, a dalej małą, wyczarterowaną awionetką do Sugapy – wsi położonej na 2200 metrów n.p.m. w otoczonych niedostępną dżunglą górach Sudirman. Po rejsowych, dwupiętrowych Boeingach, które oprócz nas zabierały na pokład 500 osób, ten jakże mały samolocik zaaplikował nam sporą dawkę adrenaliny. Kiedy trzęsąc się, zaczął podchodzić do lądowania na krótkim, prowizorycznym lądowisku położonym na grzbiecie górskim na wysokości naszego Międzyzdrojach...

Aaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaa

Tu nic nie jest na pewno

Sama Papua to wręcz neolityczna enklawa, która przetrwała nie tylko dzięki odległości dzielącej ją od reszty świata i nieprzyjaznej przyrodzie, ale ze względu na złą sławę jej mieszkańców, którzy zasłynęli jako okrutni wojownicy, łowcy głów i ludożercy. O skali trudności, jakie napotkali pierwsi badacze, mogą świadczyć nazwy dwóch rzek, jakie nadali im przy pierwszych próbach kolonizacji Holendrzy w 1902 roku: Moordenaar (Morderca) i Doodslager (Rzeźnik).

Gdy lądujemy pośrodku Gór Śnieżnych, czeka tam na nas ogromny tłum Papuasów. Część z nich nosi już ubrania, ale wciąż u wielu jedynym odzianiem jest koteka (odmiana wysuszonej tykwy) noszona na przyrodzeniu u mężczyzn. Kobiet w ogóle nie widać. Dzieci za to cała masa. Wszystkich łączy brak obuwia, które tutaj jest oznaką dużego prestiżu. Jako biali stanowimy duże wydarzenie w życiu wsi. Jesteśmy w końcu ich nadzieją na zarobek. Każdy więc chce zostać naszym tragarzem. Dochodzi nawet do tego, że w pewnym momencie wszyscy rzucają się na nasze bagaże. Powstaje taki zamęt, że mało brakuje, a stracilibyśmy cały sprzęt i żywność. I tylko dzięki policji i naszemu przewodnikowi udaje się opanować tłum.

Schodzimy do wsi, gdzie w byłym domku misjonarzy mamy spędzić pierwszą noc. Jutro czeka nas rejestracja całej grupy na tutejszym posterunku i załatwienie tragarzy na trasie między dwoma wsiami: Sugapą i Suangammą. Ci pierwsi tylko na odcinku lądowisko-wieś mają okazję „przytulić" trochę grosza, o reszcie „szczęśliwców" zadecyduje jutro tutejszy komendant policji. Wszyscy nas bacznie obserwują. Wiadomo, biali ludzie zdarzają się tu bardzo rzadko. Większość dotychczasowych wypraw na Puncak Jaya (jak nazywają Carstensz Pyramid Indonezyjczycy, a Sukarno – Papuasi), wyruszała z drugiej strony gór – przez Freeport i kopalnie złota. Wartość dziennego wydobycia to ok. 10 mln dolarów, a zasoby są takie, że można kopać 24 godziny na dobę przez 50 lat i się nie skończą. Niestety, ta dużo łatwiejsza droga jest już dawno nieaktualna. Władze kopalni i indonezyjski rząd nawet pod groźbą śmierci nie zezwalają na jakiekolwiek wejście na jej teren.

Rano ruszamy z tragarzami przez dżunglę do Suangaamy. Tam dostaniemy właściwą ekipę, która będzie towarzyszyła nam podczas całej podróży.

– Ale tu nic nie jest na pewno – podkreśla przy różnych okazjach nasz przewodnik.

Aaaaaaaaaaaaaaa aaaaaaaaaaaaaaa aaaaaaaaaaaaaaa aaaaaa

Cały ten galimatias z ciągłą zmianą bagażowych jest bardzo męczący, ale reguły, które tu panują, nie są do ogarnięcia przez żadnego białego. Wyboru ludzi nam towarzyszących dokona wódz wsi, a towarzyszyć temu będzie harmider porównywalny z wyborem prezydenta.

O dziwo, o świcie świeci słońce. Na wybrzeżu to norma, a przy dużej wilgotności i upale Europejczyk potrzebuje wielu dni na aklimatyzację. Ale w tych górach to rzadkość. Deszcz pada bowiem niemal cały dzień z krótką półgodzinną przerwą w okolicach północy. Średnia temperatura w górach nie przekracza 10 stopni Celsjusza.

Razem z nami maszerują trzej uzbrojeni w karabiny wojskowi. Mają nas chronić przed potencjalnym atakiem ze strony Papuasów. Choć, jak się później przekonamy, Papuasi to jedni z najserdeczniejszych i pogodnych ludzi, jakich można spotkać na świecie. A wszystkie opowieści o kanibalizmie należą już do zamierzchłej przeszłości. Co nie wyklucza faktu, że większość z zamieszkujących te tereny 45-latków (tyle bowiem średnio żyją Papuasi) prawdopodobnie próbowała kiedyś ludzkiego mięsa. Droga wiedzie przez pola patatów (rodzaj słodkiego ziemniaka) i trzciny cukrowej uprawianej na zboczach gór. Dominują jednak wysokie drzewa. W jednej chwili wydzieramy górom cenne metry, wchodząc na 2400 m n.p.m., by parę momentów później zejść na 1600 m n.p.m. I tak w kółko. Mijamy ostatnich mieszkańców tych okolic – Amakane. Mówią coś do nas z uśmiechem na twarzy. A to podobno w ich języku oznacza przywitanie. Odpowiadamy z radością tym samym.

Życie w dżungli

Każdy z dni, które zaczynamy już porównywać do prac mitycznego Herkulesa, zaczynamy o świcie, około piątej rano. Pakowanie namiotów, szybki posiłek na maszynce gazowej i w drogę. Deszcz i błoto dają się ostro we znaki. Do tego dochodzi pochłaniające wiele sił przedzieranie się przez plątaniny lian i korzeni. Dżungla Nga Palu (3450 m n.p.m.), to naprawdę trudny do przejścia teren. Błoto sięga czasami do kolan. Dziennie przechodzimy przez około dwadzieścia rzek i potoków – czasami po prowizorycznych palach, czasami w bród. Silne opady deszczu sprawiają, że coś, co jeszcze wieczorem było niewinnym potokiem, rano jest rzeką występującą z koryta. Nurt jest bardzo silny i musimy niezwykle uważać, aby nikogo nie porwała woda. Wędrujemy dziennie ok. 25 km przez dziesięć godzin. Nic nie schnie, a wszechobecne błoto wyszarpuje z nas siły i wolę walki. Każdy ruch wymaga dużego skupienia, bo nie wiadomo, czy konar, na którym za chwilę staniemy, leży tu od wczoraj czy też od pięćdziesięciu lat. Z drzew na spadochronach lądują na nas pijawki. Są tak trudne do oderwania, że trzeba je odcinać nożem. Jeżeli w porę się nie zorientujemy, wypełniają się naszą krwią niczym balony i zostawiają niegojącą się ranę.

Nasi tragarze są bardzo pomocni. Przemierzają dżunglę na bosaka, czym bardzo nam imponują. To mobilizuje do zaciętej walki z tym niegościnnym terenem. Mieszkają w szałasie (brezentowa płachta naciągnięta na prowizoryczny, drewniany szkielet), w którym palą ogniska i przy których czasami wspólnie się suszymy. Często coś śpiewamy. Repertuar powalający: od czterech pancernych po pszczółkę Maję. Ich dieta składa się z ryżu, patatów oraz ptaków, na które codziennie polują. Chętnie nas częstują, a my odwdzięczamy się liofilizowanym jedzeniem. Klimat jest przedni. Nie ma lepszych, ani gorszych. Wspólnie tworzymy jedną, zgraną drużynę.

Aaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaa aaaaaaaaaaaaaaaaaaa

Po całodziennej wędrówce wieczorem padamy ze zmęczenia. Z ledwością rozstawiamy namioty pośrodku chaszczy i zarośli, przyrządzamy posiłek i usypiamy w okamgnieniu. Staramy się nie myśleć o tym, jakie węże i pająki wypełzają tutaj na żer. Ten rejon świata zamieszkują bowiem m.in. Tajpan Papuański, Zdradnica Śmiercionośna i Czarna Wdowa – jedne z najbardziej jadowitych zwierząt na naszym globie.

Przed wejściem do dżungli różniliśmy się od siebie. My byliśmy czyści, pachnący, w nowych outdoorowych, oddychających ubraniach, oni – ubłoceni, w poszarpanych ubraniach, potargani. Gdy po piętnastu dniach opuszczamy dżunglę, nie różnimy się już niczym.

Dzień próby ostatecznej

Aż wreszcie nadchodzi ten dzień. Po ośmiu dniach wędrówki, a raczej ▶

szarpania się z dziką przyrodą przy świetle czołówek, o drugiej w nocy wyruszamy na atak szczytowy obok New Zealand Pass (4350 m n.p.m.). Wcześniej krótka narada: co, kto i jak.

– A zatem w drogę! – mobilizuje krótko nasz przewodnik, kiedy wszystko jest już ustalone.

Półtoragodzinny marsz do 400-metrowej, pionowej ściany, skąd rozpoczniemy wspinaczkę po skale, upływa w ciszy. Każdy stara się skupić, aby w ostatniej fazie nie popełnić błędu, który może nas kosztować to, co najcenniejsze – życie. Wpinamy nasze jumary (przyrządy asekuracyjne) w liny poręczowe i w górę. Tempo dość ostre, tak jak i ściany skalne, które przy wspinaczce tną nam bezkompromisowo rękawiczki i dłonie. Nagle w ciemności słyszę krzyk z góry:

– Kamień!

Przylegam odruchowo do ściany. Znajdujący się poniżej mnie Peter nie ma tyle szczęścia i kamień odbija się od jego twarzy. Kask, który ma na głowie, tym razem nie ratuje go od ciosu. Na szczęście wielkość odłamka nie jest znacząca. Oko nietknięte – to najważniejsze. Peter decyduje kontynuować wspinaczkę.

Temperatura oscyluje w okolicach minus pięciu stopni, ale wiatr potęguje odczuwalne zimno. Zaczynają nam drętwieć ręce. Oddech staje się coraz krótszy. Pomaga stopniowa aklimatyzacja, której poddawaliśmy się przez wszystkie spędzone w dżungli dni.

– Daleko jeszcze? – pyta Francuz Michel. Niestety, wiem tyle samo, co on.

Pomału świt rozprasza mrok. Wilgotna ściana czasami przechodzi w komin, dzięki czemu, przy odpowiednim zablokowaniu ciała, zyskujemy chwilę na odsapnięcie. Już o świcie wchodzimy na zaporęczowaną grań, ale i tak musimy uważać. Ślisko jest jak diabli, sił coraz mniej, a o błąd bardzo łatwo. Dochodzimy do jednego z najcięższych odcinków. Przed nami uskok na 4800 m n.p.m. z 20-metrową liną rozpiętą nad 100-metrową przepaścią. Wpinamy w nią pojedynczo karabinki HMS, które mamy przy uprzężach, i silnymi ruchami rąk przesuwamy się po niej pod górę. Potrzeba dużego przełamania psychicznego, aby zaufać obcej linie. Podobno w tym właśnie miejscu wiele osób decyduje się wycofać. Trudno się im dziwić.

Przypominam sobie, że do 70 procent nieszczęśliwych wypadków dochodzi przy schodzeniu z gór, gdy nagle znika nam z oczu Kasia – jedyna kobieta na wyprawie

A nam zostało jeszcze trzysta metrów do celu. I w końcu jest! Wymarzony i upragniony wierzchołek. Dochodzą Czesi i chwytają się za ręce, żeby ten ostatni krok na szczyt był wspólny. Wszyscy reagujemy entuzjastycznie. Znajdujący się w naszym gronie Serb Basara Carović cieszy się podwójnie. Wejście na Puncak Jaya wieńczy jego starania o zdobycie Korony Ziemi. Jest pierwszym obywatelem byłej Jugosławii, któremu się to udało. Czas zatem na fotki, wzajemne gratulacje i ruszamy w dół. Operacja równie trudna, co i niebezpieczna.

Powrót przez dżunglę do cywilizacji jest skrajnie wyczerpujący. Duże brawa dla naszej Kasi, która jako pierwsza kobieta pokonała tę 400-kilometrową morderczą drogę tam i z powrotem. Jesteśmy już przemęczeni, wszystko nas boli, mamy poranione od skał i korzeni ręce i nogi. I co gorsza, w tym klimacie nic nie chce się goić. Do końcowej wsi dochodzimy resztkami sił.

Kasia poleciała w dół

Ostatni dzień ekspedycji po 400 kilometrach przedzierania się przez niegościnną dżunglę zapowiada się gorący i parny, mimo że na wyspie jak zwykle padało całą noc. Po wyjściu z wsi Suangaama (2250 m n.p.m.) zaczyna dopadać nas pech. Na początku Peter, nasz przewodnik, poślizguje się na wystających korzeniach drzewa, które mijamy. Nieszczęśnik obsuwa się po zboczu i boleśnie rani.

Zdążę sobie jeszcze przypomnieć, że do 70 procent nieszczęśliwych wypadków dochodzi właśnie przy schodzeniu z gór, gdy nagle znika nam z oczu Kasia – jedyna kobieta na wyprawie. Biedaczka wchodzi na zwalony pień drzewa, służący za prowizoryczny mostek do przeprawy przez 4-metrowej głębokości wąwóz. W dole płynie potok, a Kaśka poślizguje się na mokrej korze, traci równowagę i po chwili spada w dół. Jej głowa dosłownie o parę centymetrów mija wielki głaz leżący na dole, ale i tak doznaje lekkich obrażeń. Do tego dochodzi skręcona noga. Upadek na szczęście amortyzuje plecak, a całą siłę uderzenia przyjmuje na siebie 2-litrowa aluminiowa butelka na wodę. Po ciosie wygląda jak pomięta kartka papieru i aż strach pomyśleć, co by było, gdyby taki wypadek przytrafił się nam dużo wcześniej.

– Dobrze, że nie na początku – śmieje się Katarzyna. Przyznaję jej rację.

W tym nieszczęściu miała dużo szczęścia. Transport rannego w dżungli jest bowiem prawie niemożliwy, a o ratunku helikopterem w tamtych warunkach nawet nie ma co marzyć.

Spoglądam na dłoń, w której trzymam kawałek skały, który zabrałem ze szczytu. Będzie przypominać mi w codziennym życiu, jaki ogromny wysiłek czasami musimy pokonać w drodze do zamierzonego celu. Że kroki, które stawiamy, są małe i prawie niewidoczne, ale z każdą chwilą przybliżają nas do zwycięstwa. I że entuzjazm z determinacją zawsze zatriumfują nad talentem połączonym z lenistwem. Kolejny raz przekonałem się, że warto walczyć o to, co wymarzone. ▮

Aaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaa aaaaaaaaaaaa

INFORMACJE PRAKTYCZNE

DOJAZD

- Samolotem liniami Cathay Pacyfic przez Amsterdam do Hongkongu, dalej do Jakarty i przez Bali do Timiki. Warto po drodze zatrzymać się w tych egzotycznych miastach na dzień lub dwa, żeby zobaczyć więcej niż tylko lotnisko. Najlepiej jechać w październiku lub marcu, bo w górach najmniej wtedy pada, choć i tak deszcze są bardzo obfite.
- Transport jest tutaj mocno ograniczony i dość drogi, wiec po dotarciu na wyspę trzeba bardzo improwizować.

DOKUMENTY

- Aby dojechać do Indonezji, należy mieć wizę co najmniej 30-dniową. Można ją kupić na lotnisku. Kosztuje 25 dolarów. Jeśli chodzi o pozwolenia na trekking, to nawet nie ma sobie co zawracać głowy, próbując coś załatwić na własną rękę. Przez gąszcz biurokracji ministerstw, wojska i policji z pozytywnym skutkiem potrafi przebrnąć może z pięć agencji na świecie. Lepiej więc zostawić to zawodowcom.

Aaaaaaaaaaaaaaaaaaaaa aaaaaaaaaaaaaaaaaaaaa aaaaaaaaa

WYPOSAŻENIE

- Oprócz osobistego ekwipunku i ubrania wodoszczelnego warto dodatkowo zabrać wysokie kalosze, buty trekkingowe (tylko na wysokie góry), kijki trekkingowe do pokonywania potoków, solidną pałatkę przeciwdeszczową, dobrze wyposażoną apteczkę osobistą (antymalariaty konieczne!).
- Woda jest tutaj niezdatna do picia, więc trzeba ją przegotowywać i uzdatniać odpowiednimi środkami. W Jakarcie warto kupić kartusze gazowe. Można je przewieźć samolotem, bo tutejsza benzyna do niczego się nie nadaje.

BEZPIECZEŃSTWO

- Indonezja i Papua to skorumpowany kraj, więc trzeba się nastawić na łapówki i załatwienie mnóstwa pozwoleń na trekking od wojska i policji. Mało kto zna tutaj język angielski, warto więc nauczyć się podstawowych słów w języku indonezyjskim.

PODSUMOWANIE

- Sam szczyt dla wysportowanej osoby z przeszkoleniem alpinistycznym nie stanowi dużego problemu, ale droga przez dżunglę w górach to już bardzo ciężkie zadanie.
- Obowiązującą walutą w Indonezji i na Gwinei jest rupia indonezyjska IDR (1 dolar = 11 000 IDR). Należy zabrać ze sobą na wymianę dolary lub euro. Ceny hoteli i wyżywienia są dla Polaków bardzo atrakcyjne. Wszystko kosztuje około 30 procent mniej niż w kraju. Niestety, koszt wyprawy to ok. 40 000 zł. Większą część kosztów zabiera transport i pozwolenia.

REKLAMA